

Jestem pierwszym dziennikarzem, który przeszedł nocny, 42-kilometrowy maraton. To najtrudniejszy sprawdzian w tygodniowej selekcji komandosów.



Chwila odpoczynku na polanie.

Do bólu, czyli do GROM-u

Chciałbyś przejść selekcję do GROM-u? – zapytał kiedyś płk Roman Polko, dowódca najslawniejszej polskiej jednostki wojskowej. Pewnie, że tak. W ciągu 12 lat istnienia jednostki, selekcję oglądało dwóch albo trzech dziennikarzy. Ale nikt nie maszerował razem z komandosami. Na przejście całej trasy nie miałem szansy. Bo jak zwykły człowiek może przez tydzień z kilkunastokilogramowym plecakiem biegać po górach? Ustaliliśmy, że przyjadę na kilka ostatnich dni.

Może uda mi się nie paść zbyt szybko...

Musiałem jednak przestrzegać żelaznych zasad. Na zdjęciach nie można pokazywać twarzy kursantów. Nie wolno podawać żadnych szczegółów trasy, imion.

Selekcję przygotowano w Beskidach. Z Warszawy przyjechało 30 kandydatów na superkomandosów.

Instruktorzy dokładnie ich rewidują. Sprawdzają czy nikt np. nie ukrył pieniędzy, witamin, cukru czy innych substancji wzmacniających organizm.

Ukrycie jedzenia oznacza wyrzucenie z selekcji. Podobnie jak zerwanie jabłka z drzewa, pójście po wodę do gospodarza, zapytanie o drogę, godzinę, zatrzymanie „stopa”.

Kursanci leżą na małej polance

Są wykończeni. Wietrzą stopy, suszą skarpety. Wyjście poza ściśle określony obszar oznacza powrót do Warszawy.

Lekarz wysłał do domu już trzech kursantów. Dwóch z powodu wysokiego ciśnienia. Trzeci miał straszliwie poodziurawione nogi. Wdało się też zapalenie ścięgien. Chłopak się bronił, chciał iść dalej. Ale rozkaz to rozkaz.

Kilku kursantów startuje trzeci raz. Dostali ostatnią szansę. – Na pierwszej selekcji byłem w zwykłej kurtce wojskowej. Było 20 stopni. Nie mogłem się rozgrzać. Podziękowałem po dwóch dniach – mówi żołnierz.

Na początku instruktorzy odbierają zegarki. Ich brak dobita. Liczy się czas wykonania wszystkich zadań. A człowiek nie może sprawdzić, która godzina.

Noc mija spokojnie. Tylko kilka razy

wszystkich podrywa odgłos silnika. Skoro instruktorzy uruchomili samochód, to trzeba się pakować. Instruktor gasi silnik. Falszywy alarm. Można drzemać.

Pobudka jest o godz. 5. Kursantów nikt nie budzi. Oni prawie nie śpią. Przez cały czas w napięciu czekają na polecenia.

Instruktorzy wydają racje żywnościowe.

Idziemy na start

Czeka nas bieg na orientację. Startuję punktualnie o godz. 6. – Azymut 15 stopni, po dwóch kilometrach punkt kontrolny. W razie zagubienia azymut 120 stopni. Ewakuacja z drogi wojewódzkiej. Powtórz! – rozkazuje instruktor. Powtarzam i maszeruję leśną drogą.

Teraz mój największy problem to znalezienie pojemnika na wodę. Przed selekcją powiedzieli mi, że jedzenie i woda będą na miejscu. Myślałem, że dostanę wodę w plastikowej butelce. Tymczasem woda była, ale nabierało się ją do manierek.

Na szczęście w lasach jest sporo śmieci. Szybko znajduję elegancką, półtoralitrową butelkę z resztką jakiejś oranżady. W najbliższym strumyku myję ją dokładnie i napełniam. Odwodnienie mi nie grozi.

Na pierwszym punkcie instruktor odbiera mi zegarek. Szybko tracę orientację. Na drugim punkcie kontrolnym dostaje

Jarosław Rybak (z prawej) z dowódcą GROM-u Romanem Polko.

mapę z zaznaczonym miejscem, do którego mam dotrzeć. To jeden ze szczytów. Obliczam azymut, maszeruję. Ale mapa nie jest najnowsza. Trafiam na domy, których nie zaznaczono. Czas ucieka, nie mogę znaleźć właściwego szczytu. Dochodzę do dwóch sporych strumieni łączących się na kształt litery „Y”. Widzę to na mapie. Ustalam azymut. Maszeruję. Znowu strumienie łączą się w „Y”. A tych na mapie nie ma. Czas ucieka. Nie wiem, czy idę godzinę, czy pół dnia. W wyższych partiach gór śnieg sięga do pasa. To strasznie utrudnia wędrówkę. Na szerokiej polanie znajduję... świeże odciski stóp niedźwiedzia. Miś maszerował po całej naszej trasie. Jego tropy widzieli i instruktorzy, i kursanci.

Po zdobyciu kilku szczytów byłem już pewien.

Zgubiłem się!

Wracać? Tylko czy na pierwszym punkcie kontaktowym jeszcze ktoś będzie? Rano słyszałem, jak instruktorzy mówili coś o wieży obserwacyjnej na jednym ze szczytów. Tam trzeba iść. Okazuje się, że tak, jak ja, pogubili się prawie wszyscy.

Na szczycie z wieżą obserwacyjną szybko spotykam płk. Polko. Dalej idziemy razem. On kurtuazyjnie zwalnia, kiedy idę na najwyższych obrotach. I tak docieramy do obozowiska. Maszerowałem 7 godzin i 6 minut. Myślałem, że jest już wieczór, a było kilkanaście minut po godz. 13...

Jest czas na toaletę, czyli moczenie nóg w strumieniu.

Kursanci wiedzą, że zawsze na koniec selekcji jest marsz na 42 kilometry. Z tego wszystkiego nawet nie chce się spać.

Instruktorzy to najbardziej doświadczeni komandosi z oddziału bojowego.

Przy ognisku wspominają misje

Haiti, Jugosławię, ćwiczenia w USA, Anglii, Holandii. Na Haiti walczyli z kapitanami voo doo, na Bałkanach dopadli zbrodniarza wojennego. Jaka jest recepta na sukces w jednostce specjalnej? – Trzeba sobie powiedzieć, że albo coś zrobię, albo zdechnę – krótko wyjaśnia selekcjoner. Żołnierz musi mieć przede wszystkim żelazną psychikę. Wystarczy popatrzeć na instruktorów. Żaden nie wygląda na kulturystę. Ale też nie słyszałem, aby w czasie selekcji któryś krzyknął, albo

przeklinał. To byli pewni siebie, chłodni profesjonalści.

W maratonie startuję jako pierwszy. Ruszam o godz. 23.55. Drobną deszczką chłodzi ciało. Co jakiś czas drogą przejeżdża karetka pogotowia. Lekarz w każdej chwili może udzielić pomocy. Mijam kolejne beskidzkie wioski. Jest cicho. Nie wiadomo...

Który kilometr, która godzina?

W pewnym momencie dochodzę do rzeki. Trzeba ją sforsować. Uwieram trampki. Tylko na amerykańskich filmach komandosi maszerują w wodzie w ciężkich butach. Taki brak rozsądku szybko kończy się odparzeniami. Kilku kursantów pokonuje rzekę w samych skarpetkach. Aby nie obciążać plecaka, nie wzięli zapasowych butów.

Pada coraz mocniejszy deszcz. Od środka ubranie jest mokre od potu. Z zewnątrz – od deszczu. W plecaku mam konserwę i resztkę czekolady. Na jedzenie konserwy szkoda czasu. Co jakiś czas jem po dwie kostki czekolady z wczorajszej racji żywnościowej. Częściej piję wodę. Jeszcze nigdy woda ze strumyka tak nie smakowała...

Wreszcie widzę samochody i ognisko. To już koniec.

Maszerowałem 7 godzin i 57 minut. Instruktorzy ustalili, że od 6 do 8 godzin to czas dobry. Do 10 – może być. Powyżej – dyskwalifikacja. Wszyscy zmieścili się w regulaminowym czasie.

TEKST I ZDJĘCIA: JAROSŁAW RYBAK

Menu kursanta

W czasie tygodniowej selekcji chudnie się średnio od 8 do 10 kilogramów. Jadłospis codziennie jest taki sam. W ciągu doby kursant dostaje:

- Tabliczkę czekolady gorzkiej
- Zupę chińską błyskawiczną o smaku łagodnym
- Paczkę żytniego pieczywa chrupkiego Wasa
- Puszke konserwy mięsnej 200 g.
- Puszke pasztetu podlaskiego 155 g.
- Puszke gulaszu angielskiego 200 g.
- 2 saszetki herbaty
- 2 saszetki cukru, każda po 5 g.
- Wodę źródlaną – bez ograniczeń

Dobowe racje żywnościowe instruktorzy wydają rano. Kursant może wziąć całą porcję. Ale większość ludzi zabiera tylko część jedzenia. Ponieważ wszystko trzeba nieść na własnych plecach, ciężarem staje się każda konserwa... ■